



Miłosz Kamil Manasterski
Spa



e-bookowo.pl
wydawnictwo internetowe

Miłosz Kamil Manasterski

SPA

© Copyright by
Miłosz Kamil Manasterski & e-bookowo

Fot. na okładce: unsplash.com

strona autora: www.manasterski.pl

Projekt okładki Miłosz Kamil Manasterski

ISBN 978-83-7859-768-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2016

SPA. OPOWIEŚĆ O KSIĄŻCE

OD AUTORA

Przyjechała pekaesem z Przasnysza

Mojego debiutu wyglądałem kiedyś na peronie Dworca Centralnego. Wydawca miał mi dostarczyć nowe książki prosto z drukarni przed moim wyjazdem na konkurs literacki w Oświęcimiu. Wtedy, na Centralnym się nie udało i musiałem zmienić wydawcę (więcej o tej historii w drugim wydaniu „Sztuki czytania”). Mój nowy, solidny wydawca (Wydawnictwo Książkowe „IBiS”) i moja druga książka przyjechała pekaesem. Biało niebieskim autobusem z dużym napisem PKS Przasnysz. Przyjechała na przystanek autobusowy w Płocku. Punktualnie, zgodnie z rozkładem jazdy. Kierowca podał mi kilka ciężkich paczek z moją częścią nakładu „Spa”. Dlaczego po książkę wydaną w Warszawie a przywiezioną z Przasnysza musiałem jechać do Płocka?

Druga książka

Kiedy w roku 2005 ukazała się moja pierwsza oficjalnie wydana książka poetycka „Sztuka czytania” miałem w poetyckiej szufladzie około tysiąca nieopublikowanych tekstów. Nie istniało ryzyko, że debiut będzie też końcem poetyckich

publikacji, ponieważ książka nie tylko została ciepło przyjęta przez krytykę, ale wręcz z entuzjazmem. Najpełniejszym wyrazem tego entuzjazmu była Nagroda Festiwalu Światowy Dzień Poezji UNESCO za debiut. Tysiąc tekstów, stanowiło kapitał, z którego zamierzałem skorzystać w kolejnych publikacjach, do czego zresztą namawiali mnie moi czytelnicy, upominający się o ten i ów wiersz, którego w „Sztuce czytania” nie znaleźli, a znali go z lektury w czasopiśmie albo internecie. Rzecz jasna poprzeczka po nagrodzie za debiut była wysoko podniesiona, więc należało też bardzo krytycznie spojrzeć na teksty do kolejnej książki. Część z moich zasobów nie spełniała już moich oczekiwań, były to typowe juvenilia, przy lekturze których traciłem dobre samopoczucie. Nadal jednak, około 400–500 wierszy w „szufladzie” zasługiwało na swoje miejsce w publikacji.

Decyzja o wydaniu drugiej książki jak najszybciej, była w zasadzie oczywista. Jak najszybciej oznaczało w tym przypadku rok od wydania kolejnej. I w porównaniu z historią mojego debiutu, którą dokładnie opisałem w II wydaniu „Sztuki czytania”, było to tempo naprawdę ekspresowe.

Niezależnie od trudności jakie napotkałem po drodze, dzięki pierwszej książce zacząłem pracować z fantastycznymi ludźmi: Aleksandrem i Barbarą Nawrockimi, Zdzisławem Tadeuszem Łączkowskim i Zbigniewem Irzykiem. Mam całkowitą pewność, że choć wszystkie utwory umieszczone w książce były moje, to jednak sukces bez takich redaktorów (Łączkowski i Irzyk) oraz wydawcy (Nawroczy) nie byłby możliwy.

Monotematycznie...

Jako debiut, „Sztuka czytania” była bardzo różnorodna, co zresztą w pewien sposób zarzucał jej Michał Kasprzak. Byliśmy tego (redaktorzy, autor i wydawca) od początku świadomi. W momencie wydawania pierwszej publikacji chciałoby się powiedzieć: czym chata bogata. Może być tak, i tak i tak. Pierwsza książka miała być jak najpełniejszą prezentacją poetyckich możliwości autora, swojego rodzaju poetyckim portfolio. Pokazać poetę wielobarwnego, wielotematycznego, o szerokich zainteresowaniach. Bardzo szybko po wydaniu, po jednym ze spotkań promujących książkę, Zbigniew Irzyk rzucił ideę, żeby teraz, po tej poetyckiej mozaice przedstawić czytelnikowi propozycję spójną. Że skoro mamy już za sobą udany debiut, to możemy podjąć większe ryzyko i wyekspluatować jeden z motywów w poezji. Tylko jeden.

Obaj wiedzieliśmy który. To wydawało się absolutnie oczywiste, w zasadzie już przy komponowaniu pierwszego tomu, wspierająca nas Ewa Nowacka, zasugerowała, żeby chagallowski wątek małych miasteczek odizolować i dać mu zaistnieć w pełni, kiedyś, w przyszłości. To był ten moment. Drugi tom miał też udowodnić każdemu, kto by wątpił w zdolność do konsekwencji, w możliwość zbudowania między wierszami dodatkowej narracji.

Tak powstała „Spa”. Opowieść o miasteczkach, a właściwie o jednym miasteczku z wyobraźni. Jednocześnie idyllicznym i boleśnie realnym, gdzie zapach traw z ogródka na plebanii miesza się z wonią nawozu z przedmieść. Gdzie ludzie są jednocześnie serdeczni i nieprzejednani, ciepli i zawistni. Trochę jak z filmu “U Pana Boga za piecem”.

Tytuł

Autorką tytułu była moja żona. Słowo „spa” robiło właśnie zawrotną karierę niebywale poszerzając swoje znaczenie. „Spa” stawało się nie tylko każde uzdrowisko i pierwszy lepszy salon masażu. Pojawił się także efekt „spa”, którego doświadczali (a w zasadzie głównie doświadczaly) użytkownicy/użytkowniczki szamponów, żeli pod prysznic, kremów. Dla poety takie nowe i puchnące w treści słowo jest niezwykle atrakcyjne. Nie miałem też żadnej wątpliwości wobec skojarzenia z owym „magicznym” efektem spa. Byłem gotów reklamować swój zbiór bardzo natarczywie obiecując tyle samo co producenci kremów: otwórz ten tomik! Poczuj odświeżającą moc poezji! Efekt spa gwarantowany już po 10 wierszach*.

* (Testowano na grupie 27 czytelniczek, z których 50% odczuwało efekt spa po 5 wierszach, 35% po 10 wierszach, a 15% po lekturze spisu treści).

A jednak – mimo tej ironii – naprawdę – bardzo lubię małe miasteczka. I każdej wizycie w niewielkim mieście znajduję coś odświeżającego dla siebie i swojej twórczości. Z drugiej strony moim naturalnym środowiskiem jest 100 tysięcy+, czyli rodzinny Kalisz, ze swymi stukilkunastoma tysiącami mieszkańców, którzy również doskonale (jeśli zechcą) potrafią zrekonstruować atmosferę dusznej prowincji. A moim ideałem z jednej strony urokliwe miejsca jak Pułtusk, Serock, Rawicz, Łowicz, Keszthely albo Koprivnica (czy oderwana od nowych osiedli stara Ostrołęka), z drugiej miasta zacnego kalibru jak Łódź, Wrocław czy Warszawa. Ten dualizm jest nie do pokonania. Małe jest piękne, ale na dłuższą metę życie metropolii jest bardziej atrakcyjne... Aż nie zmęczy i sprawi, że znów tęsknimy za małym.

Być może to kwestia pewnego niedostatku miast tzw. średniej wielkości, do której zaliczam w Polsce miasta mające około stu tysięcy mieszkańców. Kalisz, Płock, Grudziądz, Ostrów Wielkopolski, Włocławek – miasta o zbliżonej wielkości i teoretycznie ogromnym potencjalne. Miasta, którym jednocześnie trudno się rozwijać, choć mieszkać w nich jest – chciałoby się rzec – niemal idealnie. Blisko jest do kościoła i do lasu, na zakupy i nad wodę. Powinno się w nich żyć wygodnie i bez metropolitalnych uciążliwości.

Miasteczka z dziecięcych podróży

Moja miłość do małych miast i miasteczek pochodzi jeszcze z czasów dzieciństwa. Zaszczepili mi ją rodzice, którzy

w weekendy zabierali mnie na wycieczki po województwie kaliskim. Tak, było takie województwo, było i miało się dobrze przez ponad pół wieku, aż do wielkiej reformy rządów Jerzego Buzka... Początkowo pociągami, później Fiatem 125p, jeździliśmy do Krotoszyna, Koźmina, Pleszewa, Jarcina, Kępna, Ostrzeszowa, Grabowa, Stawiszyna. Moim rodzicom wydawało się naturalne, że jako mieszkaniec stolicy województwa, muszę odczuwać coś w rodzaju lokalnego patriotyzmu dla całej ziemi kaliskiej. I co ważne – muszę ją znać. Czy dzisiaj mieszkaniec województw gigantów: mazowieckiego, pomorskiego, wielkopolskiego czy podlaskiego czuje z nimi taką naturalną więź? Czy dajmy na to mieszkańcy Augustowa i Białej Polskiej uważają siebie za sąsiadów, krajan? Czy rodzice ze stołecznego Wrocławia uważają, że ich dzieci powinny znać wszystkiego dolnośląskie miasteczka? Nie wiem, ale chciałbym, żeby tak było. Mnie tak wychowano, w miłości nie tylko do rodzinnego miasta ale i całego regionu.

Czytelnicy z Południowej Wielkopolski znajdą więc dużo swoich miast i miasteczek w moich wierszach. Oczywiście granica województwa kaliskiego nigdy nie była dla mnie nieprzejezdna. Na przykład w wakacje wiele razy zapuszczaliśmy się na tereny województwa leszczyńskiego. Tata rozważał nawet podjęcie pracy w Rawiczu. Pamiętam, że przyjąłem to z mieszanymi uczuciami. Rawicz mnie zachwycił i od razu odnalazłem się w jego historii, zabytkach i specyficznym nastroju. Z drugiej strony żał mi było opuszczać ukochany Kalisz, być może na zawsze.

Okładka

Moja żona miała pomysł, żeby na okładce umieścić otwarty słoik kremu do twarzy, ale ostatecznie książka uciekła trochę od tej dosadności. Bo przecież ten żelowo/szamponowo/kremowy efekt spa, jest dokładnie taki sam, jak podczas pobytu w małych, ślicznych miasteczkach. Początkowy zachwyty i entuzjazm dość szybko może przejść do poczucia duszności i pragnienia pilnej ewakuacji na teren neutralnej metropolii.

Kilka dni wcześniej pojechaliśmy do Serocka. Pospacerować po wąskich uliczkach, dojść na plażę nad Narwią, pomodlić chwilę w serockim kościele i napić się dobrej kawy w malowniczo położonej kawiarni. Cele wyprawy zostały zrealizowane w stu procentach, choć kawiarnia nie była czynna, za to znalazła się restauracja. A miasto posłużyło nam także za plener zdjęciowy: widok z uliczki wiodącej na rynek trafił na okładkę pierwszego, papierowego wydania. Zaś moje zdjęcie z kawą w serockiej gastronomii pojawiło się na czwartej stronie okładki, tuż obok biogramu.

Efekt spa

Dlaczego akurat Serock? Serock tłumaczyć trzeba Pułtuskim. Przez ponad rok jeździłem do pracy w Państwowym Instytucie Wydawniczym w Warszawie właśnie z Pułtuska.

Był to rok 2000 i wynajem mieszkań w Warszawie był transakcją dewizową. Dzisiaj brzmi to nieprawdopodobnie, ale wiele cen za wynajem mieszkania było podawanych w dolarach. Teoretycznie się zgadzało, były to kwoty w zasięgu mojej skromnej pensji starszego referenta w Dziale Promocji, jednak tylko w rachunku jeden do jednego. A po przeliczeniu z dolarów na złotówki okazywało się, że potrzebowałem jeszcze dwóch kolejnych etatów, aby zarobić na mieszkanie. Tylko, że jeśli pracuje się przez 24 godziny to mieszkanie przestaje już być potrzebne.

Oczywiście zawsze można było poszukać mieszkania taniego, gdzieś na odległej Pradze, bez niektórych wygód. Zamiast rezygnować z łazienki, wody, ogrzewania i kuchni zdecydowałem się, jak bardzo wiele osób, wynająć mieszkanie poza Warszawą. Mój wybór, bardziej emocjonalny niż racjonalny, padł na Pułtusk. Pułtusk, znacznie już oddalony od Warszawy i skomunikowany z nią tylko komunikacją autobusową. Wiem, że można było bliżej, ale ja bardzo chciałem mieszkać w Pułtusku. Przede wszystkim za sprawą Wiktora Gomulickiego (zresztą z pochodzenia ostrołęczanina) i jego cudownych “Wspomnień niebieskiego mundurka” – jednej z ukochanych książek mojego dzieciństwa. Zamieszkać w mieście ze “Wspomnień...” było wręcz moim marzeniem. Choć wiadomo było, że Pułtusk nie jest już tym samym miastem, co z książki Gomulickiego. Na mnie, patrzącego przez czytelnicze okulary, był nadal niezwykły. Chciałby się rzecz magiczny. Może nawet dawał pewien efekt spa.

Pamiętam, że lubiłem wracać do Pułtuska po pracy. Wsiadałem w autobus o 16.40 (jeśli danego dnia rzeczywiście skończyłem pracę o czasie). Po przejechaniu szarej Warszawy, szarego Legionowa, wąskiego i zawsze zakorkowanego mostu na Zegrzu (uwierzcie, był wąski, miał dwa pasy, ale minąć na nim się mogły tylko dwa maluchy, więc autobusy i ciężarki tworzyły korek jeżdżąc po moście wahadłowo)... Po pokonaniu tych wszystkich przeszkód i zatorów drogowych, które często ciągnęły się do Serocka (który jeszcze nie miał obwodnicy i cały ruch przechodził przez centrum), trawa robiła się bardziej zielona, droga szersza i bardziej pusta, a z okien autobusu czasem, gdzieniegdzie prześwitywał błękit Narwi. Topole przy drodze, Narew w oddali były zapowiedzią domu, który przecież był tylko tymczasowym schronieniem. Jednak Pułtusk dawał mi nadzieję na zadomowienie, na oswojenie ze sobą, na zapuszczenie korzeni. Kiedy autobus wiozący mnie po pracy opuszczał Serock, kolejne kilometry działały na mnie kojąco. Odrywałem się wtedy od czytanej książki, żeby obserwować przesuwający się za oknem krajobraz.

Po wielu latach przeczytałem w poradniku, że dobrze jest zostawić sprawy zawodowe w pracy. A ponieważ mało kto potrafi z niej wyjść i przestać o niej myśleć, podróż do domu to moment, kiedy powinniśmy się przestawić na tryb prywatny, domowy, osobisty. Paradoksalnie trudno jest to zrobić, kiedy mieszkamy blisko swojej pracy. Ma to wiele zalet i nikomu nie życzę, by jeździł z pracy i do pracy 4 czy 5 godzin dziennie. Ale to właśnie czas jazdy i dystans mierzony w kilometrach

od biura są jedyną gwarancją poczucia odłączenia, relaksu. Przejeżdżając przez Serock wiedziałem że jestem już daleko i z każdym kilometrem coraz dalej, że żadna siła nie zawróci mnie już biura, że to miasteczko do którego jadę, jest moim azylem, a zielone pola i smukłe topole to moja izolacja od spraw zawodowych. To było na swój sposób doświadczenie wspaniałe i odświeżające. Efekt spa.

Między siedmioma prowincjami...

Nie wiem czy tak musi być, ale miasta leżące obok siebie często odgrywają role antagonistów. W Kaliszu żartowaliśmy sobie ze sporu z Ostrowem Wielkopolskim, którego mieszkańców podejrzewaliśmy o ambicję prześcignięcia we wszystkim Kalisza. Wiem, że podobne sąsiedzkie utarczki są częste w różnych rejonach Polski wśród miast o podobnej wielkości położonej obok siebie. Nie mam pewności, czy takie napięcie istnieje pomiędzy Serockiem a Pułtuskim, jednak w moim przekonaniu, miasta te były skrajnie inne. I wybór między nimi przypominał udrękę wyboru pomiędzy dwoma pięknymi (na różny sposób) kobietami. Pułtusk czarował historią i zabytkami, których (w porównaniu) Serock nie posiadał niemal w ogóle. Z kolei Serock zachwycał wypiełgnowaniem, dbałością o detale, chodnikami równymi, w czasach, gdy ciąg równej powierzchni pieszej o długości powyżej 10 metrów mógł budzić zdumienie. Serock miał wspaniałą makijaż, Pułtusk surową urodę, której przydałoby się więcej pudru (tynku?). W Serocku byłem przejazdem dwa

razy dziennie i zastanawiałem się jakby się tam mieszkało. W Pułtuskach słuchałem historii opowiadanych przez stare mury. Nawet Narew była inna w Serocku, inna w Pułtusku, choć miasta dzieli raptem 20 kilometrów. Serock to ostatnie kilometry zalewu Zegrzyńskiego, wody dość spokojnej, łagodnej, dystygowanej, szerokiej. W Pułtusku Narew jest dzika i silna, tworzy wyspy i starorzecza a pływanie w jej nurcie bywa niebezpieczne.

Ktoś kto już raz podciął swoje korzenie, wyprowadził się z rodzinnych stron, przełamał tabu, że mieszka się tam, gdzie mieszkali rodzice, dziadkowie, pradiadkowie, poczuł wolność wyboru, na swój sposób zawsze będzie rozdarty między Serockiem a Pułtuskiem, Łowiczem a Skierniewicami, Łodzią a Warszawą, Los Angeles a San Francisco... Bo korzeni już nie ma, bo korzenie nie odrastają w jednym pokoleniu. Mamy jakieś samoprzylepne czułki, ale kolejne miejsce kusi, by sprawdzić, czy tam aby nie piękniej, nie milej, nie bardziej spa.

Spotkania autorskie

Jednym z powodów, dla których kocham spotkania autorskie, są podróże. Albo też, jednym z powodów dla których kocham podróże, są spotkania autorskie. A wiele z tych podróży kończyło się w małych miastach. Jak cudowne są tam spotkania! Jakich można doznać wzruszeń? Choćby w takiej małej Kcyni, gdzie, na krańcach historycznego województwa kaliskiego (a to dzisiaj Kujawy!) czułem się jak w domu...

Oficjalna premiera „Spa” odbyła 27 kwietnia 2007 r. w moich podwarszawskich Łomiankach, w Centrum Kultury. Było to wspaniałe wydarzenie artystyczne: piękny wstęp wygłosił Janusz Termer, wiersze genialnie przeczytał wspaniały aktor Andrzej Krucz, a oprawę muzyczną koncertowo opracował znakomita pianista jazzowy Jacek Prokopowicz. Nawet jeśli ktoś był niezadowolony z moich wierszy, to i tak sama impreza musiała mu się podobać!

Kolejna promocja „Spa” odbyła się w warszawskiej Gallerii Rio 23 maja 2007 r., spotkanie prowadził Stefan Jurkowski, a zorganizował je Juliusz Erazm Bolek. Z tego co pamiętam, było to nasze pierwsze wspólne przedsięwzięcie z Juliuszem, sprawdzonym partnerem w najtrudniejszych literackich bojach.

Książkę promowałem również na kilku innych spotkaniach. Między innymi podczas XXXVIII Warszawskiej Jesieni Poezji i XXV Podlaskich Spotkań Literackich w Białej Podlaskiej. W Białej miałem wspólne spotkanie ze Zbigniewem Milewskim zatytułowane „Spa & Fajerwerki” od tytułów naszych najnowszych wówczas publikacji książkowych. A w 2012 promocja „Spa” odbyła się w Alejach Ujazdowskich pod patronatem Ambasadora Bułgarii w Polsce, ale o tym później...

Najmłodszy członek Związku Literatów Polskich

W 2015 r. zrezygnowałem z członkostwa w Związku Literatów Polskich. Miałem ku temu wiele ważnych powodów, jednak w 2007 r. ZLP uważałem za ważną i jedyną organizację dziedziczącą międzywojenną tradycję. Nie wiedziałem jeszcze, że w mrokach pisanej w PRL historii zatarto wszelkie ślady po organizacji pisarzy katolickich utworzonej już 1927 r. Dzisiaj, kiedy odbudowujemy przedwojenną siłę Związku Pisarzy Katolickich (którego jestem teraz Prezesem) wygląda to wszystko inaczej, ale w 2007 r. jedyną organizacją dziedziczącą wprost przedwojenne idee był Związek Literatów Polskich (już niebawem miałem się przekonać jakie to dziedzictwo...). I to właśnie dzięki „Spa” mogłem zostać członkiem ZLP. Kiedy tylko miałem w ręku pierwsze egzemplarze książki złożyłem podanie o przyjęcie do Oddziału Warszawskiego ZLP. Od poety oczekiwano w tym czasie, by wydał dwie, wysokiej wartości artystycznej książki. „Sztuka czytania” i „Spa” obroniły się przed Komisją Kwalifikacyjną pod przewodnictwem Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza. Byłem w tym momencie najmłodszym członkiem Związku Literatów Polskich w całym kraju!

Wydanie bułgarskie

Rzadko się zdarza wydanie zagraniczne całej książki poetyckiej. To luksus zarezerwowany dla klasyków. Poeci, jeśli ich twórczość wzbudza zainteresowanie zagranicą, mogą li-

czyć przede wszystkim na wybory wierszy. Wynika to z wielu powodów, między innymi pragmatycznego stanowiska, że nie wszystkie wiersze z książki poddadzą się skutecznemu tłumaczeniu, że nie każdy z nich będzie atrakcyjny w nowym języku. Publikacja całej książki (co udało mi się w mojej poetyckiej karierze aż dwa razy!) to niemal cud, zarezerwowany dla klasyków. Bo przecież Mickiewicza, Homera czy Szekspira bierze się w całości, bez marudzenia.

Przyznaję, że na taki obrót spraw w ogóle nie liczyłem. Cieszyłem się ze stworzonej przez moje wydawnictwo (IBiS) możliwości współpracy z Bułgarią. Przypieczętowaliśmy je kieliszkiem rakii, kiedy wręczałem kilka moich książek w podmoskiewskim Pieredełkinie znanemu bułgarskiemu poecie Dimitarovi Hristovovi. Był to rok 2011, moja pierwsza wizyta w Rosji, a niezwykle atmosfera “miasteczka literatów”, które zafundowali swoim pisarzom rosyjscy komuniści przypominała sen, na przemian piękny i koszmarny.

Dimitar obiecał pracować nad przekładem ze swoją żoną Anną Bagrianą, Ukrainką, znakomicie znającą język polski. Muszę przyznać, że moje zaskoczenie było ogromne, że Hristovowie zdecydowali się przełożyć właśnie „Spa” i to w całości, od początku do końca. Była to bardzo miła niespodzianka i potwierdzenie tezy, którą na początku naszej pracy nad drugim tomikiem postawił Zbigniew Irzyk, że tomik oscylujący wokół jednego tematu będzie miał bardzo dużą siłę.

„Spa” ukazało się w Bułgarii w Sofii w 2011 r. w wydawnictwie pod zmienionym tytułem „Zad prozoreca gradcze”. Na główny tekst tomiku Dimitar Hristov awansował utwór „Okno na ulicę”, co zbliżyło nas do plastycznych skojarzeń Ewy Nowackiej z twórczością Marca Chagalla. Bułgarska okładka była bardziej wyrazista, ale mniej poetycka od polskiego oryginału. W miejsce sielankowej, liściasto–miejskiej wizji pojawiła się ulica Kutna. Widać taki obraz polskiego spa pojawił się u moich bałkańskich wydawców po lekturze wierszy z tomiku... Nie jest to w żadnym razie reklamówka miasta, ani folder turystyczny Polski. To ulica naznaczona bólem, starością i zaniedbaniem. Ale ulica, co dla mnie bardzo ważne, na której dominantę stanowią dwie kościelne wieże. Zabawne, że to obcokrajowcy zawsze bardziej widzieli we mnie człowieka religijnego, niż ja sam. Widać także te kilka wierszy o Bogu, chrześcijaństwie i współwiernych, które znalazły się w „Spa” również dla Bułgarów były ważne, charakterystyczne, moje.

Nigdy nie rozmawiałem na temat zmiany tytułu z Dimitarem. Mam do wszystkich swoich tłumaczy całkowite zaufanie i pełne zrozumienie. Oczekuję zresztą tego samego, kiedy rozpoczynam pracę tłumacza. Jestem zawsze otwarty na rozmowę, ale wiem, że to tłumacz podejmuje ostateczne decyzje. Tylko on może zdawać sobie sprawę z tego, jak będzie odczytywany nasz wiersz w jego kraju, w kręgu czytelników poezji. Tylko on zna nowe konteksty i tło narodowe kulturowo–literackie w jakie wprowadzamy ciało obce – przekład z innej kultury. Co z tego, że chrześcijańskiej, euro-

pejskiej, słowiańskiej i bardzo sobie bliskiej. A jednak innej i a najdrobniejsze niuanse mogą wiersz zniszczyć, albo nadać mu w nowym języku niespodziewane znaczenie. Wiem, jak ceniony jest Dimitar Hristov w Bułgarii, miałem zresztą możliwość doświadczyć osobiście splendoru, jaki otacza nie tylko samego poetę, ale także tłumaczonych przez niego autorów. Podczas Festiwalu Poezji w Warnie i Dobryczy moja bułgarska książka była żywo przyjęta, a nazwisko tłumacza mówiło bardzo wiele. W Polsce książka była prowadzona w ograniczonej sprzedaży a jej promocja odbyła się w Bułagraskim Instytucie Kultury w Warszawie. Zapis z tego spotkania jest do obejrzenia na YouTube.

Dziewięć lat po pierwszym wydaniu

...przypominam „Spa” moim czytelnikom w zmienionej formule. Znajdziecie w niej dwie recenzje redaktorów, Irzyka i Łączkowskiego, stworzone przed powstaniem książki. Na końcu są fragmenty recenzji Andrzeja Tchórzewskiego umieszczonej na portalu „Fabrica Librorum”. Przepadły gdzieś niestety dwa inne teksty krytyczne: Stefana Jurkowskiego (bardzo dobry!) i Janusza Termera z oficjalnej premiery w Łomiankach. Postanowiłem też, że podobnie jak w przypadku drugiego wydania „Sztuki czytania”, drugie wydanie „Spa” będzie również pewnym rodzajem spotkania autorskiego. Temu służy ten długi, zdecydowanie bardziej niż zazwyczaj rozbudowany wstęp. Dziesięcioletni żywot książki wydaje się całkowicie upoważniać do tego, by o nim

opowiedzieć, zwłaszcza, że w przypadku „Spa” sporo się wydarzyło wokół książki i przed jej powstaniem. Chciałbym, żeby to krótkie spotkanie z tym zbiorem poezji nieco moim Czytelnikom wydłużyć, poprzez moją opowieść i anegdoty. Są to mniej więcej te treści, którymi dzieliłem się podczas spotkań autorskich promujących „Spa” a później jej bułgarskie wydanie. Stąd również w niej wypowiedzi krytyczne, twórców, którzy niejako wprowadzają czytelnika w świat moich wierszy. Oczywiście można też pominąć wszystkie wstępy i rozpocząć lekturę od środka (i meritum) – czyli poezji. To już Twoja wola Czytelniku, czy zechcesz poświęcić chwilę dłużej spotkaniu z autorem i krytykami literackimi.

Wiersze

Wiersze, które znalazły się w „Spa” były w znakomitej większości zdobywcami nagród w konkursach literackich. Nie ma w tej książce wiersza, który by rozpoczynał w niej swój publiczny żywot: każdy z nich trafił wcześniej do prasy literackiej, almanachów albo publikacji pokonkursowych. Muszę przyznać, że dla autora to bardzo duży komfort, mieć w książce wiersze już sprawdzone, przetestowane na krytykach i czytelnikach. Kilka lat później, kiedy odważę się umieścić w książce materiał w 80% premierowy („Złote i czerwone”, 2010 r, przed ukazaniem się książki opublikowałem zaledwie cztery wiersze promujące przyszłą książkę), pojawia się napięcie i trwa do dnia pierwszego spotkania autorskiego.

Podobnie jak w „Sztuce czytania” jest kilka wierszy obracających się wokół spraw religii, a proboszcz jest oczywiście centralną postacią w każdym miasteczku, a kościół i ratusz to dwa bieguny władzy świeckiej i duchowej, bez których nie da się mówić w ogóle o miasteczku (miasteczkowości czy już miejskości?). Zawsze chrześcijaństwo było częścią mojej perspektywy i nigdy nie chciałem unikać tego tematu. Jednak w porównaniu z osobami, których publikacje są całkowicie ukierunkowane na tematy metafizyczne, moja twórczość oceniana bywa jako „nie aż tak znowu religijna”. Zapewne przyczynia się do tego fakt, że nie zebrałem jak dotąd wierszy „wokół chrześcijańskich” w jeden tom. Z drugiej strony nie czuję w ogóle takiej potrzeby: w każdej mojej książce są wiersze dotyczące chrześcijaństwa i katolicyzmu (czasem prawosławia) w sposób bezpośredni, i takie, które są nimi przesiąknięte, choć. Katolicyzm nie jest religią w której świat materialny jest w jakiś sposób odrębny od duchowości. Wręcz przeciwnie, wszystko się przeplata, a sprawom życia codziennego towarzyszą sprawy ducha. Wierzę, że w ten sposób przesiąknięte katolicyzmem są wszystkie moje wiersze, również te, w których nie pojawia się słowo: Bóg.

Wierszem, który zrobił „największą karierę” nie jest wcale tytułowe „Spa”. Wiersze żyją swoim życiem i podobnie jak piosenki pochodzą z płyt, których nazw słuchacze w ogóle nie kojarzą, podobnie „Architektura” jest znana wielu osobom, które o książce „Spa” nigdy nie słyszeli. „Architektura” została przełożona na 14 języków świata i niezmiennie robi poetyckie i emocjonalne wrażenie na różnych szero-

kościach geograficznych. Ten wiersz okazał się szczególnie uniwersalny, tak dla Brytyjczyków jak i Rosjan. „Architektura” szczególnie zachwycała Sergeya Glovyuka i z tego, co słyszałem, zapewniła mi pierwsze przekłady na rosyjski. Ale jakie przekłady! Publikowane od razu w fundamentalnej antologii ostatnich 50–lat poezji polskiej, której to byłem najmłodszych bohaterem.

W każdym tomie są wiersze, które autor bardzo lubi, są takie, których nie lubi (i wtedy na pewno ich nie czyta na spotkaniach autorskich) i oczywiście wiersze w miarę obojętne. Moim zdaniem profesjonalizm twórcy wymaga uzyskania dystansu wobec swojego dzieła (jak i dziełka), co pozwala zachować poczucie własnej miary i uodparnia na złośliwą krytykę. Nawet jak piszesz krwią prosto z serca, to pamiętaj, że nie jesteś tym, co napisałeś – powtarzam młodym poetom na warsztatach literackich. A jednak tak zupełnie sentymentów nie da się pozbyć. W moim przypadku sentymenty wiążą się z wierszami, które powstały w jakiś szczególnych okolicznościach (hm, a przecież wszystkie okoliczności powstania wierszy muszą być s z c z e g ó l n e) i które nie zostały zauważone na równi z innymi.

Na pewno szczególnym wierszem jest „Łowicz Przedmieście”. Tytuł pochodzi od nazwy stacji kolejowej na linii Warszawsko–Kaliskiej, dzisiaj oznaczonej nr 15 (Bednary–Łódź Kaliska). Wiersz ten nie zaistniałby nigdy, gdyby nie podróż, którą odbyłem pewnego 1 listopada. Wracalem wtedy do siebie (czyli do Skierniewic, bo i w tym mieście

trochę pomieszkałem) z rodzinnego Kalisza, mając już za sobą, przeprowadzoną dzień wcześniej wizytę na kaliskich cmentarzach. Pociąg jadący do Warszawy jechał starą trasą pociągów linii kalisko-warszawskiej i zatrzymał się na stacji Łowicz-Przedmieście, gdzie musiałem się przesiąść na pociąg do Łowicza Głównego, a stamtąd do Skierniewic.

Wokół 1 listopada zawsze mamy szczyt komunikacyjny, korki, zapchane pociągi i autobusy... Ale w godzinach południowych mało kto porusza się dalej, niż pomiędzy cmentarzami. Tak przynajmniej było kilkanaście lat temu. Pociąg, którym jechałem był pustawy. Na stacji Łowicz-Przedmieście wysiadłem z niego sam jeden (niesamowite uczucie – polecam!). Konduktor pokiwał głową, jakby z politowaniem, dał maszyniście znak do odjazdu i po chwili pociąg ruszył w stronę Warszawy. A ja zostałem na peronie, w ciszy niemal absolutnej, na bezлюдnej stacji w samym środku dnia. Nigdzie nie było żywego ducha. Budynek dworcowy był zamknięty. Łowicz Przedmieście, kto był ten wie, kto nie był, ten dopowiem, jest stacją wokół której istnieje podmiejska (jakże by inna) zabudowa. Tymczasem wyglądało, że jestem jedyną żywą istotą w promieniu kilku kilometrów. Przyczółek społeczności – mój pociąg – oddalał się z każdą sekundą coraz bardziej.

Wiersz „Na wieczność” to z kolei historia pewnej traumy z dzieciństwa. W mojej Szkole Podstawowej nr 1 w Kaliszu, była pewna sala, która budziła we mnie nieuzasadniony lęk. Pamiętam, że usytuowana od podwórza, zawsze miała mało światła. Wnętrza nie rozjaśniały przykurzone ściany,

ani bardzo ciemne drewniane szafki i gabloty otaczające nas z trzech stron. A w szafkach tych... Co było w szafkach, to już dowiecie się Państwo z lektury zamieszczonego w tej książce wiersza.

W książce umieściliśmy jeszcze trzy wiersze, które nie znalazły w oryginalnym pierwszym wydaniu z 2007 r. Powstały one mniej więcej w tym samym czasie, co pozostałe utwory ze „Spa” i pasują do nich klimatem i tematyką. Ograniczenie wielkości papierowej książki w 2007 r. wyeliminowało z niej kilka wierszy z cykli – pojawiły się one w kolejnych tomach, a niektóre jeszcze czekają na publikację książkową. Te trzy, zamieszczone tutaj jako Bonus Track – dostają właśnie nowe życie. Zdaję sobie sprawę, że ich umieszczenie na obrzeżach zamkniętej kompozycji jest pewnym jej naruszeniem. Jednak w książce zaznaczamy wyraźnie, gdzie jest całość opracowana przez moich redaktorów i wydawcę, a gdzie trzy dodane teksty. Dlatego myślę, że każdy będzie mógł docenić kompozycję oryginalnego wydania „Spa” a jednocześnie „doczytać” sobie jeszcze trzy wiersze spoza redakcyjnego wyboru. Moim ryzykiem jest to, że czytelnik może w najgorszym razie uznać, że te dodatkowe wiersze nic nie wnoszą. Mam nadzieję jednak, że tak nie będzie, że ich dołączenie „Spa” wzbogaca artystycznie i znaczeniowo.

Cieszę się, że sięgnęliście Państwo po „Spa”. Zapraszam teraz do lektury wypowiedzi krytycznych i oczywiście samych, tworzących książkę wierszy!

Miłosz Kamil Manasterski

SPA. SŁOWO KRYTYCZNE

Od Redaktora: Zbigniew Irzyk

Wreszcie po kilku przeciętnych latach ukazywania się konwencjonalnie poprawnych zbiorów poetyckich, ostatnio coraz częściej pojawiają się ciekawe tomiki młodych, utalentowanych twórców. Niewątpliwie takim niezwykle oryginalnym poetą jest Miłosz Kamil Manasterski – laureat wielu prestiżowych konkursów literackich, założyciel i kierownik Łomiankowskiego Klubu Literackiego działającego przy Domu Kultury w Łomiankach.

Jego wiersze zaskakują swoją niezwykle wyobraźnią, ekspresją słowa, wielkim potencjałem subtelnej ironii oraz trafnością postrzegania naszej współczesności okresu transformacji ustrojowej obfitującego w różne kontrasty i paradoksy cywilizacyjne. Obrazują całą prowincjonalność i tandetność zachodzących w Polsce przemian. Świetnie oddają one klimat duchowy, nastroje i aktualną kondycję psychiczną społeczeństwa, a także neurotyczny często rytm codziennego życia celnie wyrażony zwykłym, niemal kolokwialnym językiem. Stanowią cenny komentarz do naszej siermiężnej rzeczywistości pełnej zagrożeń i absurdów, pozostawiającej jednostkę w stanie ciągłego lęku, niepewności, w poczuciu własnej nierzeczywistości i zagrożenia. Jednocześnie poeta w tym świecie swoistej groteskowej Małej Apokalipsy –

niewielko strasznej i śmiesznej zarazem – oraz w otaczających nas na pozór całkiem banalnych sytuacjach i zdarzeniach nader trafnie podpatrzonych odnajduje ogromny potencjał liryzmu, ludzkiego ciepła, pragnienia zrozumienia, miłości, marzenia o lepszym, godniejszym życiu.

Wszystko to sprawia, że niejako identyfikujemy się z tymi wierszami, gdyż odzwierciedlają one nasze emocje, lęki, codzienne niepokoje i nadzieje. A co najważniejsze – poezja Miłosa Kamila Manasterskiego wyraża bunt, niezgodę na bylejakość naszego życia, w którym zderzają się raz po raz elementy i relikty peerelowskiej przeszłości i nowej hybrydowej epoki, nasze marzenia, o bardziej ludzkim i sprawiedliwym świecie ze zwyczajną głupotą, bezdusnością i cywilizacyjnym zacofaniem.

Taki właśnie świat widziany w krzywym zwierciadle ukazuje znakomity debiutancki tomik poety „Sztuka czytania” (Warszawa 2005) oraz nowy wybór wierszy „Spa” w pełni potwierdzający jego dalszy rozwój jako twórcy.

Od Redaktora: Zdzisław Tadeusz Łączkowski

To radość, że mamy młodych, dobrych i będących przyszłością poezji, którzy często, ale o tym się nie mówi i nie pisze, daleko ze swoją twórczością wybiegają nawet poza nasz kraj. Myślę nade wszystko o młodych twórcach, sięgających w głąb człowieka i w głąb sztuki, a nie w “głąb” śmietników czy miałości.

Do tej grupy autorów utalentowanych i posiadających dorobek całkiem niebagatelny i artystycznie, i treściowo, choć przecież to dopiero autor jednego wydanego tomiku „Sztuki czytania” (Warszawa 2005), niewątpliwie należy Miłosz Kamil Manasterski. Poeta niezwykle uwrażliwiony na świat, z dużą intuicją i wyobraźnią, patrzący bardzo odważnie na to wszystko, co nas otacza i na współczesnego człowieka, a także na codzienność, w jakiej przyszło nam żyć. Człowieka współczesnego, dźwigającego bagaż różnorodnej, nawet tragicznej przeszłości, to nie oznacza, że człowiek ten jest poza przyszłością. Bagaż, ale i całe “kufry” bogactwa, zwanych duchowością i mądrym trwaniem w pięknym dramacie życia, i jego barwach, melodii, a również wołaniem o ludzką twarz naszych skomplikowanych, często nieludzkich czasów.

Miłosz Kamil Manasterski z każdej rzeczy, z każdej codzienności, tej realnej i tej „odrealnionej”, i tej powszedniej, prostej, zwykłej – potrafi uczynić poezję. U niego wszystko

staje się poezją. Jego słowo, to nie napuszone, nie patetyczne – nabiera wręcz doskonałej melodyki, staje się nutą czasu teraźniejszego i tego czasu, co nadchodzi. Staje się natchnione, jak u poetów z prawdziwego zdarzenia. Proste słowa, może nawet już „zużyte” u poety nabierają ostrości, są ekspresyjne i odbanalizowane. Stają się wręcz „święte”, aby tym silniej nas wzruszać, pobudzać do refleksji i zamyślenia nad sensem trwania w świecie współczesnym. To zdumiewające, ale te słowa są odą na cześć człowieka żującego w lęku i pogardzie. Poeta przywraca godność jednostce, tak bardzo dzisiaj zagubionej i osamotnionej. Autor tej książki pt. „Spa” proste sprawy czyni wielkimi, nadaje im wymiar ze wszechmiar mądry, ponadczasowy a także serdeczny i pełen nadziei, nawet tej trudniej.

Miłosz Kamil Manasterski to twórca, który staje w obronie piękna, tego piękna, co pokrywa brud. Bo czy sztuka ma granice? Gdzieś powinna się ta granica kończyć? Nie! Nigdy! Powinna być ona brzemenna w jasność, ocalająca, budująca i wzruszająca. Jak u Norwida. Poeta staje więc na straży godności sztuki, jej boskiego wymiaru, poprzez to, co powszechne, a jednak związane z tajemnicą naszej codzienności, trudnej, skomplikowanej, często wysoce dramatycznej, ale zawsze rodzącej nawet w bólu, niedosycie i lęku – miłość. Owa miłość u Manasterskiego nadaje jego wierszom trwałości i mówi o sensie ludzkiego losu. Tak, bo to ”ojciec powtarzał mi zawsze/ że nie wolno stać w miejscu”. Miłosz Kamil staje w obronie człowieka będącego w drodze, a tym samym i w dramacie jego trwania.

Bardzo wzruszający i mądry jest wiersz poświęcony żonie, gdyż na ogół to mężczyzna wie, gdzie posadzić jabłoń. To przecież jego „obowiązek”. A Kamil, poeta Kamil, subtelny w swej liryce, dyskretny i nawet urokliwy w tym, co pisze, pyta pełen przekory o tę jabłoń, pyta swoją żonę, pyta gdzie ją zakorzenić, może i zabawnie, ale nade wszystko czule i z wdziękiem oraz czcią dla niewiasty w ogóle.

oczekuję że zbudujesz mój dom
wskażesz miejsce gdzie posadzić jabłonie
(*Architektura*, fragment)

Bo tak powinien postąpić poeta wrażliwy i pełen wdzięczności za miłość i bliskość, którą otrzymuje. Jest to wielki dar, tej miłości, którą daje także sztuka. To dary miłości płoną światłem, jak wiersze Kamila Baczyńskiego, czy jakże odległego już od Baczyńskiego Józefa Czechowicza. Bo Miłosz Kamil pyta nieustannie o sens sztuki, jak gdyby pragnął rozwiązać zagadkę naszego istnienia.

Manasterski, jak mało kto wśród młodych, zna smak słowa, biorącego początek z mowy „arystokratycznej”, ale i z mowy potocznej. Poeta wie, aż nadto dobrze, że takie właśnie słowa mają ogromną siłę przesłania. Ale my też wiemy, iż każde słowo może i ranić i uzdrawiać. Nigdy więc Manasterski słowa nie nadużywa, ceni jego wagę i mądrość. Jest oszczędny w operowaniu nim. A ponadto ta urzekająca melodia, dykcja, muzyczna nuta. Każdy wiersz u Kamila stanowi

jakby oddzielny utwór „muzyczny”. Takie właśnie tworzenie wydobywa urodę mowy wiązanej, całe jej bogactwo znaczeń.

Poeta jeszcze raz nieśmiało, ale już bardzo mądrze i odważnie (bo dzisiaj być poetą to odwaga) zadaje odwieczne pytania: kim jest człowiek? Jaki będzie los, gdy nie połączy cywilizacji (choć to też kultura) z kulturą, życiem duchowym. A ta jedność to przecież wielki sens naszego “być” w świecie, który nadchodzi.

Kim będziesz ty? Kim będę ja? – Jeżeli nasza codzienność nie stanie się bardziej ludzka?

A więc są to wiersze z natury uniwersalne, pełne metafizyki codzienności. A taka codzienność to już istota naszego trwania. Trwania w świecie coraz bardziej chaotycznym, niewolnym przecież od terroru, barbarzyństwa i półprawd.

Słuchajmy więc głosów poetów, także poetów młodych, oni, tak jak Kamil, mają również wiele do powiedzenia. Słuchajmy ich, poezja zawsze niesie i buduje naszą wolność.

Warszawa, 10.04.2006 r.